



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI

Gordon Stables.

WYPRAWA DO GRENLANDYI

1

bieguna północnego,

(Dalszy ciąg).

Niedźwiedź spostrzegłszy zbliżających się ludzi, postąpił parę kroków naprzód; potem stanął i patrzył trochę zdziwiony na niewielkiego chłopaka, który się oddzielił od gromady i szedł ku niemu.

Olaf przykląkł na jedno kolano, i zanim niedźwiedź się zerwał do skoku, rozległ się strzał i zwierz padł na ziemię.

Olaf biegł ku niemu i już, już nachylał się nad zbroczo-
nem cielskiem, kiedy Sigurd chwycił go za rękę i odciągnął na bok. I w porę, bo zwierz zbierając resztę sił, podniósł się na tylne nogi, otworzył paszczę szukając ofiary, okręcił się parę razy na miejscu i z przeraźliwym rykiem padł martwy.

Po dokładnem obejrzeniu, Sigurd przekonał się, że to nie był ów niedźwiedź.

„Speedy” płynął zwolna wzdłuż pola lodowego. Nie spieszył się, raz dla tego, że wiatr był dosyć słaby, a powtórę, że nie miał powodu pędzić. Przybył tu przed wszystkimi statkami, więc cel był osiągnięty. Dzień mijał za dniem, i okręt posuwał się na północo-wschód, t. j. właśnie w żądanym kierunku.

— Chciałbym już w końcu zobaczyć foki — rzekł razu pewnego kapitan Reynolds przy śniadaniu.

— Niedługo nadpłyną — zauważył Sigurd z całym spokojem.

— Niedługo? Zkąd wiesz o tem?

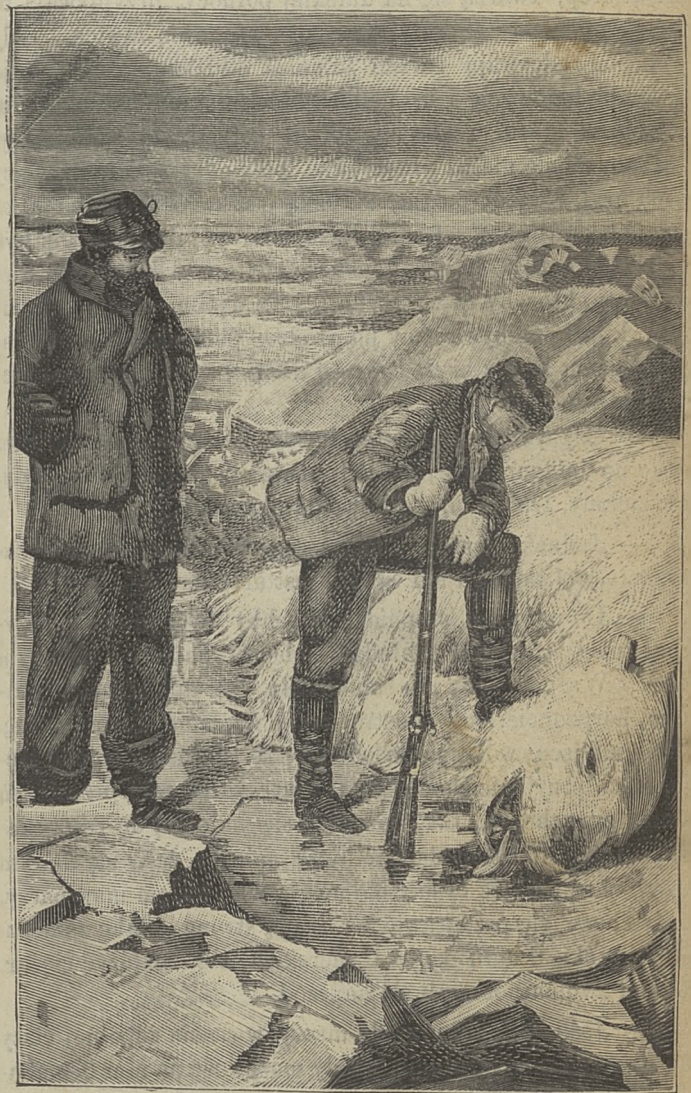
— Dziś widziałem „hoid maage”.

— Co to znaczy?

— Sigurd mówi o białej mewie — rzekł Olaf, śmiejąc się.

— I to zapowiada przybycie fok.

— Zobaczycie, niebawem nadpłyną w olbrzymim stadzie.



z przeraźliwym rykiem padł martwy...

Tymczasem wiatr całkiem ucichł, i „Speedy” został przytwierdzony do lodu za pomocą ostrych kotwic.

Korzystając ze sposobności Olaf i Collin wyszli na ławicę eskortowani przez Sigurda i młodego Lapończyka Svolto, który jak się później okazało, odznaczał się niezwykłą zręcznością. Wszyscy byli uzbrojeni w dubeltówki, jeden tylko

28
Svolto pogardził ognistą bronią, i w ręce niósł olbrzymią maczugę, a około pasa miał okręcone całe pęki sznurów.

Szkoccy rybacy [sznurów tych używają do związywania skór fok, a nieraz tylko za ich pomocą wydobywano z wody towarzysza, któremu groził rekin.

Te potwory nie lękają się chłodnej wody, i w czasie polowania na foki, gromadnie się udają na brzegi Grenlandyi, gdzie się karwią zabitemi lub rannemi fokami, lecz o ile mi się zdaje, zdrowych nie napastują.

Tego dnia lód był tak mocny, że nie było powodu lękać się załamania. Obaj chłopcy jak tylko spotkali wzgórek, zaraz na niego wchodzili i rozglądali się dokoła, czy nie dostrzegą niedźwiedzia, ale mysie, snać przeczuwając co je czeka, wyniosły się z okolicy i ukryły w dalszych rozpadlinach.

Sigurd tymczasem wpadł w zapał i zaczął mówić szeroko o posuwaniu się ławicy lodowej i o rozmaitych gatunkach ładu.

— Te olbrzymie bryły szerokie na czterdzieści albo pięćdziesiąt stóp, tworzą się na dalekiej północy, przypływają tu pokryte śniegiem i zbiwszy się razem stanowią ławicę. Gdy się od niej odrywają i woda je unosi oddzielnie, otrzymują nazwę gór lodowych i są nader niebezpieczne dla okrętów. Widziałem statki rozłupane przez ostry brzeg takiej góry. Zdarzało mi się nieraz przepływać pomiędzy setkami tysięcy takich brył, i wtedy jedyną ucieczką jest zwrócić dziób statku na największą górę. Lepiej jest uderzyć dziobem niż być uderzonym w bok, bo jeżeli jeszcze wiatr jest dość silny, nie ma okrętu, któryby to wytrzymał. Te drobne strumienie lodowe, które przebywaliśmy po drodze, pochodzą z podobianych rogów, albo z brył, które w długiej swej wędrówce uległy stopieniu.

— Czy widzisz Olafie ten bardzo przezroczysty lód tam daleko na śniegu? To jest lód utworzony ze słodkiej wody, a ów zielony, trochę bliżej, jest całkiem słony.

— Jednak słyszałem od naszego profesora, że przy zamarzaniu, sól osiada i lód zawsze jest słodki.

— Do pewnego stopnia. Niechby twój profesor przyjechał tutaj i zechciał ochłodzić sobie herbatę tym zielonym lodem. Wątpię czyby mu smakowała. A tam daleko, prawie na horyzoncie, czy dostrzegacie zupełnie równą szybę. W tem miejscu woda się ledwie ścięła, ale niech trochę stężeje, niech przyjdzie choćby lekki wiatr, zaraz całą przestrzeń złamie, zgruchocze, tak, że stanie się podobną do reszty ławicy. Jutro lód ten będzie dość mocny, żeby się na nim ślizgać, choć przejść byśmy nie mogli; widywałem marynarzy, którzy chcąc się przeprawić na drugą stronę, słabo zamarniętej zatoki, kładli się na piersiach aby rozłożyć ciężar, i rękami zwolna posuwali się naprzód.

— Jeśli jednak przyjdą mrozy w czasie zupełnej ciszy i lód dostatecznie zgrubieje, wtedy można iść po nim bez obawy? — zapytał Collin.

— O! nie! mylisz się najzupełniej. Bo w wielkie zimna, foki chowają się pod ten gładki lód, oddechem roztapiają go w wielu miejscach, aby ułatwić przystęp powietrza. Te otwory pokrywają się cienkim lodem, śniegiem i nikt się ich nie domyśli, ale pod ciężarem człowieka, słaba skorupa się załamuje, i biedak używa mimowolnej kąpieli.

— Musi to być zabawniejsze dla widzów niż dla aktora.

— Zapewne, ale z takich wypadków ratować się nie mo-

żna raz dla bardzo niskiej temperatury powietrza, a powtóre z powodu przepływających rekinów. Więc moi chłopcy, ile razy będziecie na gładkim lodzie, miejcie się na baczności!

Podczas tej wielkiej ciszy, Collin nie wahał się spędzać znacznej części dnia na bocianiem gnieździe i nietylko odbywał swoją kolej, ale towarzyszył innym.

Razu pewnego znalazł się z Joe na szczycie masztu, wziął lunetę i, rozejrzawszy się chwilę, zawołał:

— Co to znaczy? Całe morze pokryte czarnymi plamami.

— Gdzie? gdzie? — zapytał oficer.

— Przed nami, na północo-wschód.

Joe zwrócił swoją lunetę we wskazanym kierunku i o mało nie wypadł z radości z bocianiego gniazda. Krzyczał: Hurra! powiewał czapką, aż dziwne jego zachowanie się zwróciło uwagę kapitana, który z dołu zapytał:

— Czy co widzicie?

Joe przechylił się przez breg:

— Tak, kapitanie. Foki nadpływają, przed nami całe morze się od nich czerni.

III.

BIAŁA MEWA ODLECIAŁA. — PODSTĘP.

Kiedy rozpięto żagle, wiatr odépchnął statek od ławicy, ale był zbyt słaby, aby mu dozwolił płynąć na równi z fokami, to też marynarze widzieli tysiące i dziesiątki tysięcy tych ładnych i rozumnych zwierząt, które, trzymając się brzegu ławicy, zmierzały na południe.

Ciekawość jest zasadniczą cechą charakteru fok, to też wiele z nich zatrzymywało się, aby się przyglądać okrętowi. Zapewne żadna nie pamiętała okropnych rzezi, których dokonały potwory o białych twarzach z dziwną bronią w ręku, szerzące śmierć i zniszczenie w ich stadach.

Speedy zwrócił dziób na południe i ścigając fokę, które szukały cieplejszej wody i mniej stromego brzegu, ścigał swe własne szczęście.

— A widzicie — rzekł kapitan Reynolds — że wszystko się składa, jakem przepowiedział. Sigurdzie, wasz ptak przyniósł nam szczęście, tylko zapomniałem, jak się on nazywa.

— „Hoid maage” — rzekł Sigurd ze spokojnym uśmiechem, tak długo, jak jest przy nas, nie potrzebujemy się niczego lękać.

— Widziałem go dziś jeszcze i zabroniłem strzelać naszym ludzom.

— Strzelać? zarazyby się szczęście od nas odwróciło.

— Biała mewa (*Larus Eburneus*) inaczej nazwana śnieżną mewą, odznacza się przepyszny upierzeniem śnieżnej białości, dlatego też nieraz pada ofiarą naszych marynarzy, chociaż Norwegczycy w ogóle uważają ją za nietykalną, i nigdy jej nie zabijają.

We dwa dni później załoga Speedy ujrzała, jak fokę tyśięcami wychodziły na lód, i niebawem w ciszy nocy rozlegały się cieniutkie głosy młodych; w dzień zaś przez lornetki można było ujrzyć prawie pod każdą wystającą bryłą około tuzina małych fok.

— Trudno widzieć zwierzątko tak ładne, jak one. Całe są pokryte białym puszystym włosem i tylko nosek i czarne oczki z niego wyglądają. Zrazu mają zaledwie pół łokcia długości, ale rosną bardzo szybko, a w parę tygodni po urodzeniu skóry ich są przydatne na handel.

Wtedy odbywa się polowanie, a raczej rzeź, bo marynarze, pragnąc zabić ich jak najwięcej, nie przebierają w sposoby. Widywałem biedne małe odzieraną ze skóry, zanim miały czas skonać, i widziałem człowieka, który chcąc zwabić matkę krzykiem małego, gniótł go okutym obcasem.

Na szczęście nasi bohaterowie uniknęli tego widoku, a jakie się okoliczności do tego przyczyniły, okaże się z dalszego opowiadania.

Kapitan Reynolds miał zamiar zaczekać, aż wszystkie foki wyjdą na lód, i młode dostatecznie urosną. Pierwszy dzień minął spokojnie, potem drugi i trzeci, aż czwartego ranka zeszedł do niego Sigurd z raportem.

— Co się przytrafiło? Dla czego jesteś blady jak płótno? Czy ci się duch pokazał?

— Gorzej — biała mewa odleciała.

— Ach! mniejsza o to, nie bądźmy przesądni; może ptak jeszcze wróci.

— Nie, panie, nie wróci, a z nim razem odleciało nasze szczęście.

Collin uważał, że Sigurd cały dzień nic nie brał do ust, i nadśluchował niespokojnie, gdy się tylko dawały słyszeć zbliżające kroki.

Nad wieczorem majtek w bocianiem gnieździe zawołał:

— Statek na prawo!

— Wiedziałem, że tak będzie — rzekł Sigurd.

Wtedy i kapitan stracił humor i chodził wielkimi krokami po pokładzie.

Kiedy „Pelikan” statek z Peterhead zatrzymał się obok ławicy, kapitan Reynolds kazał spuścić czołno i udał się na jego pokład.

— A! jak się pan ma — rzekł kapitan Smart, człowiek dosyć pospolity, który pierwszy raz w życiu dowodził okrętem — jak się pan ma, chciałeś się nam wymknąć?

— Dzień dobry, kapitanie, to prawda, wcześniej wyjechałem, niż wy wszyscy, ale ocean jest otwarty dla każdego; tak mnie się przynajmniej zdaje.

— Tak, tak, chodź pan ze mną do kajuty, napijemy się grogu i wypalimy fajkę, a więc znalazłeś foki? Sprytna z ciebie sztuka.

— Znalazłem foki, i pan je znalazłeś, a jeżeli zaczekamy ze dwa tygodnie, to obaj wrócimy z pełnym ładunkiem.

— Dwa tygodnie! a to mi się podoba! Do tego czasu z pół tuzina okrętów będzie tutaj. Ja zaraz wyruszam.

— To pan wszystko popsuje.

— Lepszy wróbel w ręku niż dzięcioł na sęku.

— Ale foki jeszcze są za małe, poczekajmy choć tydzień.

— Ani myślę. Mówiłeś pan przed chwilą, że ocean jest otwarty dla wszystkich, tak samo i morze lodowate jest otwarte dla wszystkich.

Nie było racji tłumaczyć się dłużej tak upartemu człowiekowi, więc kapitan Reynolds pożegnał go zagniewany i wrócił na Speedy. Łodzie zaś Pelikana jeszcze tego samego wieczoru odbiły od statku, aby mordować nowonarodzone foki.

Skutek był tego rodzaju, że przerażone zwierzęta dały nurka pod lód, i więcej ich nie widziano.

Następnego dnia kapitan Smart przyszedł do Reynolds'a z miłą bezczelną, jak gdyby nic się nie stało.

— Cóż, kapitanie — rzekł ten ostatni — należało słuchać mojej rady.

— Przyznaję panu słuszność, ale ja zawsze żałuję po niewczasie. Co pan teraz zamierza uczynić?

— W jakim względzie?

— W tem, co się dotyczy fok, naturalnie. Pan ma nadzwyczajny węch, pewnie je będziesz ścigał?

— Zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy.

— A ja pana nie odstąpię, jak cień. Pan goni foki, ja za panem. Tu na północy wszystko wypada.

Zaśmiał się z własnego dowcipu, i uderzył pięścią o stół. Reynolds rzekł na to poważnie:

— Wiesz dobrze, kapitanie, że w tym roku nie napotkamy już całej gromady. Co najwyżej możemy odnaleźć pomniejsze stadka.

— Nie wątpię, że je kapitan znajdziesz, a ja będę przy panu.

— Postaram się, abyś przy mnie wtedy nie był; zrobię wszystko, żeby się pozbyć tak niemiłego towarzysza, a sam powiedziałeś, że na północy wszystko uchodzi.

— To znaczy, że muszę wracać do siebie i przygotować się.

— Do czego?

— Żeby płynąć za wami — rzekł Smart, schodząc z drabiny.

— Chciałbym mu się wynknąć — rzekł Józef po odejściu kapitana.

— Przyjdzie to nam z trudnością, ale udać się musi.

Z początku oba statki ścigały się, Speedy uciekał, Pelikan gonił, ale pokazało się, że Pelikan, szybciej płynie, bo gdy Reynolds i Joe już byli pewni, że umkną, Smart kazał rozpiąć wszystkie żagle i jednej chwili znalazł się przy nich.

— Nic nie wskóramy — rzekł zasmucony Joe — może w nocy lepiej nam się uda.

Istotnie, chmury zakryły horyzont, i wiatr zmienił się na południowo-wschodni, ale Pelikan przewidując, że noc będzie cieiuna, przysunął się do Speedy tak blisko, że niepodobna było ukryć żadnego manewru.

Nazajutrz Reynolds skierował się pomimo wiatru na południe. Rozkołysane morze rozbiło lód, i dostrzeżono z okrętu gromadę fok, ale z daleka od brzegu.

(d. c. n.)

Ratusz w Cieszynie.

Podróżnicy, pragnący poznać malownicze strony, w których Wisła bierze swój początek, zwiedzają nieraz księstwo cieszyńskie, graniczące z Galicyą. Pełno tu wszędzie uroczych krajobrazów, głębokich parowów, skał urwistych i gęstwin leśnych. Stolica jego, Cieszyn, wznosi się na wyniosłym wzgórzu nad rzeką Olszą, dopływem Odry. Jeszcze w końcu XVII-go wieku panował ponad miastem najeżony wieżami zamek. Dziś ślady jego zaledwie pozostały w jednej baszcie i kaplicy św. Wacława, istniejącej dotąd wśród cieniściego parku. Z dawnych zaś zabytków w Cieszynie jest nadto jeszcze kościół Dominikanów i ratusz wśród rozległego rynku.

MŁODY KRÓL HISZPAŃSKI.

Młodziutki monarcha hiszpański Alfons, XIII, nad którego niemowlęcą jeszcze główką spoczęła królewska korona, a z którym już dawniej zapoznaliśmy czytelników naszych, wzrasta otoczony wyjątkową miłością przyszłych swych poddanych, budząc nie mniejszą sympatyę ogólną.

Z ciekawością też wielką dopytuje się młodzież o losy dostojnego ich rówieśnika, sądząc, że nie zna on żadnych przeciwności, żadnego przymusu i obowiązku, tak z tytułem królewskim przywykliśmy łączyć wszelkie pojęcia nietyl-

że nie są to jeszcze elementarne tylko początki, bowiem 10-cio letni teraz Alfons już za dwa lata uznanym zostanie pełnoletnim i samodzielnie ujmie ster rządów.

Niema więc czasu do stracenia — nie dla niego zabawy i rozrywki, powaga tronu pozbawiła go tak miłej swobody lat dziecinnych! — Gruntowne studia nad prawami ludów, historią i innymi naukami zajmują młodociany jego umysł, a, zapelniając mu często więcej nad 10 godzin dnia każdego, czynią z chłopczyka, nieledwie już poważnego mężczyznę.

Kto wie jednak, czy ten nadmiar gorliwości w nabywaniu wiedzy nie wpływa ujemnie na prawidłowy rozwój fizyczny, gdyż, jak zauważyć łatwo z załączonej ryciny, Alfons XIII jest dotychczas bardzo wątłym dzieckiem. Daleko szczę-



Ratusz w Cieszynie.

ko bezwzględnej niezależności, ale nawet nieograniczonego szczęścia.

Dawno już jednak minęły te czasy, jeśli w ogóle kiedykolwiek istniały, aby tytuły i dostojęstwa, przedewszystkiem zaś berło i korona nie zaciężyły swym posiadaczom, a ciężary, jakie z niemi są nierozdzielne, nie każda głowa, nie każde dłonie udźwignąć podołają.

Nie zapominają też o tem kierownicy i opiekunowie młodego Alfonsa, że aby godnie sprawować najwyższy urząd zarządzania narodem całym, potrzeba od dziecka być ku temu wychowanym, trzeba znać wiele i umieć wiele.

Dlatego młodziutki monarcha, w wyjątkowych jedynie chwilach wielkich ceremonij i uroczystości, występuje w swej roli, dotąd nominalnie tylko mu przynależnej, gdyż w imieniu jego rządzi z pomocą ministrów matka-regentka, a obecne lata upływają mu, jak wszystkim młodym chłopcom, przy książce i nauce. Różnica zaś cała polega tu jedynie na tem,

śliwsze pod tym względem są bezwątpienia siostry jego, 16-to letnia Marya Mercedes i 14-to letnia Marya Teresa, które, że im nie grozi berło i korona, mniej czasu poświęcają nauce, a używając więcej ruchu, doskonałem cieszą się zdrowiem.

Potomek domu Anjou, t. j. bocznej linii Burbonów, która zasiadła na tronie madryckim skutkiem zapisu Karola II, ostatniego z hiszpańskich Habsburgów, a którego pierwszym przedstawicielem był Filip I Anjou, rodzony wnuk Ludwika XIV, — młodociany nasz król nie dziedziczy po ojcach ani potęgi politycznej, ani dobrobytu w kraju, ani nawet zgody wśród poddanych. — Dzisiejsza Hiszpania nie jest już owem pierwszorzędnym państwem europejskiem z nieprzelicznymi prawie koloniami za Atlantykiem, nie jest już tą monarchią, w której, wedle słów dumnego Karola V, cesarza Niemiec i króla Hiszpanii, „słońce nigdy nie zachodziło”. Nieprzebrany strumieniem napływające ówczesnie

złoto z Ameryki, stało się główną przyczyną jej moralnego i materyalnego upadku, — bo jeśli dobrobyt zdobyty pracą, dodatnio działa na charakter tak pojedynczej jednostki, jak całych narodów, to łatwo osiągnięty zbytek zaciera w nich wszelkie szlachetniejsze cechy i dążenia.

Upadło więc w kraju rolnictwo, upadł przemysł, nauki i sztuki, któremi w swoim czasie Hiszpania przodowała innym

rakterem, byłby zdołał może wprowadzić ład i zgodę, zreformować prawa i podnieść materyalny byt narodu; ale Ferdynand pod wpływem 4-ej swej żony Maryi Krystyny zniósł obowiązujące „prawo salickie”, a ogłosiwszy „sankcję pragmatyczną” zostawił tron małoletniej swej córce Izabelli; rządy zaś matki i córki pełne nikczemnych intryg, stanowią jedną z ciemniejszych kart historii tego kraju.



Młody król hiszpański z siostrami.

ludom Europy, a państwo, szarpane wewnętrzną niezgodą, wycieńczone bezustannymi wojnami, traciło na sile i znaczeniu.

Z położenia tego nie omieszkały korzystać budzące się do życia zamorskie kolonie, i tak jedna po drugiej wywalczyły sobie swobodę, iż już od wojen z cesarzem Napoleonem I, pod nieudolnymi rządami Ferdynanda VII, pozostały Hiszpanii jedynie: Kuba, Portorico i Filipiny. I gdyby choć w owe czasy ujął rządy w silno dłonie człowiek z wolą i cha-

W tym czasie też powstało w Hiszpanii stronnictwo „Karlistów”, które, protegując na tron Don Karłosa, brata Ferdynanda VII, zapaliło pochodnię krwawej, domowej wojny, wśród ucisku i bezprawia, jakich się ciągle dopuszczali ministrowie i doradcy dworu.

Odtąd partya ta, stojąc wiernie przy sukcesorach Karłosa, jeśli ucichła na chwilę, to aby z nową wybuchnąć siłą, a nieustanne walki i orężne starcia, zabierając wszelkie

siły żywotne narodu, pogrążyły go w coraz większej niemocy.

Długo też trwała wojna domowa, zanim syn Izabelli, Alfons XII utrzymał się na tronie stanowczem pokonaniem Karlistów, zmarły jednak w młodym jeszcze wieku, zostawił w 1886 r. wielki ciężar rządów w Hiszpanii, żonie swej Maryi Krystynie, z austriackiego domu Habsburgów, która, jak to już wiemy, rządzi dotychczas w imieniu króla Alfonsa XIII.

Ale mimo lat swych młodych, król zna trudność położenia i pojmuje powagę przyszłych swych obowiązków, a sprawy państwa tak go już dziś żywo zajmują, że w wolnych chwilach od nauki o nich przedewszystkiem prowadzi rozmowy, bacząc pilnie na każdy nowy wypadek politycznego znaczenia. Więc nie obcym też jest mu przebieg obecnego zbrojnego powstania na Kubie, której mieszkańcy nie szczędzą wysiłków, aby tylko wybić się na wolność, — i kto wie, czy nie nastąpi to wcześniej jeszcze, zanim Alfons ujmie ster rządów, które, życzyć należy, aby przynajmniej wolne były od wewnętrznych zamieszek.

M. D.

MARYA ŁOPUSZAŃSKA.

NA PUSTYNI.

(Dalszy ciąg).

W parę dni później Janka weszła do pokoiku babci i zastała ją siedzącą jak zwykle na fotelu a u nóg jej na stoleczku, była mała dziewczynka, dość ubogo ubrana i czytała powoli i niewprawnie jakąś powiastkę.

— Może przeszkadzam — rzekła, cofając się,

— Nie, nie — odpowiedziała babcia — Marcelka zaraz skończy, bo już godzina dawno minęła.

Gdy dziewczynka odeszła, pocałowałwszy w rękę staruszkę, ta rzekła do Janki:

— Jest to córeczka tutejszego ekonomy. Biedny ten człowiek ma dużo dzieci a niema za co je uczyć, więc powiedziałam mu żeby tę małą przysyłał do mnie na naukę, bo mi nie zbywa na czasie. Ale jest tam jeszcze chłopak bardzo zdolny i pilny, którego należałoby kształcić, lecz ja stara tego nie potrafię, trzeba by kogoś młodszego i wykształcześniego odemnie...

To mówiąc patrzyła na Jankę swemi rozumem i przenikliwemi oczyma, które zdawały się przezierać do głębi duszy. Dziewczę rumieniło się pod tym wzrokiem, wreszcie rzekło z postanowieniem:

— Babciu, niech on do mnie przychodzi, ja i tak nie mam nic lepszego do roboty.

— Ale może to cię znudzi niedługo i po kilku dniach wyrzekniesz się nauki? — spytała babcia z uśmiechem.

— O nie, jestem pewną że nie — odparła Janka.

— Więc dobrze, dziś wieczór powiem panu Perkiewiczowi żeby przysłał do ciebie swego Romcia, obaczmy jaka będzie z ciebie nauczycielka.

Nazajutrz rzeczywiście przyszedł Romcio, który się okazał chłopakiem bardzo zdolnym a przytem niezmiernie nieśmiałym. W lot pojmował wszystko co mu Janka mówiła, ale często przez nieśmiałość nie umiał wykazać tego, co umie. Niewiadomo skąd posiadał już bardzo wiele wiadomości z historii i nauk przyrodzonych.

— Któż to ci mówił o tem wszystkim? — spytała Janka zdziwiona.

— A to pan Władysław czasem brał mię z sobą w pole lub do lasu i wtedy opowiadał różne rzeczy.

— A co, nie znudziłaś się jeszcze — zapytała ją babcia w kilka dni potem.

— Owszem, jestem zachwyconą moim uczniem — od-

rzekła Janka. — Romcio jest chłopczykiem bardzo rozwiniętym.

— Więc ty Romcia zaczęłaś uczyć? — zagadnął Władek, który był obecnym tej rozmowie. — Jakże się cieszę z tego, że go znalazłaś rozwiniętym...

— Tak, zwłaszcza, że ty do tego znacznie dopomogłeś.

— Ja? — odparł Władek zarumieniony. — Przecież ja mu czasem tylko cośkolwiek opowiedziałem lub objaśniłem, sam zresztą tak mało umiem, że nie mogę drugich wiele nauczyć.

— Z pewnością umiesz nie mniej odemnie, i ręczę, że daleko gruntowniej, bo my na pensyi, jak wuj powiada, wszystkiego się tylko po łebkach uczymy — odparła Janka z uśmiechem.

— Jak możesz mówić coś podobnego, przecież ty jesteś panną wykształconą, umiesz prowadzić dowcipną i zajmującą rozmowę, a ja jestem sobie tylko prosty wieśniak, który zna się jedynie na pszenicy i burakach.

— Tylko proszę cię, braciszku, nie powtarzaj słów pana Wiktora; po nim najlepiej się przekonałam, jak pozory mogą mylić.

— Czy dla tego, że biedny Wiktor stracił głowę wobec burzy? Ależ to nie jego wina, czasem najodważniejszemu może odwaga nie dopisać w pewnych chwilach.

— A czemu ty nie straciłeś głowy, jak on, nie popisywałeś się odwagą?

— Ja sam nie wiem czemu; może dlatego, że pomyślałem sobie, że ty i Jaś nie umiecie pływać i że jesteście w wielkiem niebezpieczeństwie... Zresztą to już tak samo przychodzi...

— Masz słuszność, Władku — ozwała się babcia — to samo przychodzi w chwilach, gdy czujemy, że powinniśmy myśleć i za siebie i za innych.

— Życie na świeżem powietrzu wpłynęło tak dobrze na zdrowie Janki, że nigdy nie wyglądała równie świetnie, jak teraz, twarz jej się zaokrągliła i nabrała rumieńców; nie potrzebowała już, jak dawniej w Warszawie, zażywać żadnych lekarstw na uspokojenie nerwów, bo spała zawsze doskonale i zupełnie zapomniiała o tem, że jest nerwową. Gdzieś na strychu znalazło się siodło damskie i odtąd Janka codziennie odbywała wycieczki konne z Józiem lub Miecikiem, bo tatarska horda zaczęła już się oswajać z nową siostrzyczką i znajdowała, że z nią może być bardzo przyjemnie w domu. Nawet Staś i Antoś, najwięksi urwisy z całej piątki, przestali już chować się w zaroślach i czasem słuchali z przyjemnością, gdy Janka im opowiadała powiastki i bajki.

Wieczorem czasem Janka czytywała coś głośno pani Wilczewskiej, a wtedy słuchał Władek i młodszy chłopcy; potem rozmawiano o tem, co się przeczytało. Pan Wilczewski znów przepadał zawsze jednakowo za muzyką i śpiewem siostrzenicy i w daleko lepszym bywał teraz humorze, aż raz Władek się odezwał:

— Naprawdę zdaje mi się czasem, że wróciły się czasy kiedy Julcia żyła, bo ojciec teraz stał się innym niż dawniej, już nie bywa wcale tak zgryźliwym i strokanym, choć go dotknę jakiego kłopot, a to wszystko dzięki tobie, siostrzyczko.

— Chciałabym choć trochę zastąpić Julcię, ale nie wiem, czy mi się to uda — odrzekła Janka.

W istocie nie przychodziło jej to tak łatwo, jakby się komu zdawało, bo czasami napadała ją znów tęsknota za rozrywkami i za dawnymi koleżankami: wówczas była smutną, i nudziło ją wszystko. Ale szczęściem takie chwile przychodziły dość rzadko, bo zajęcie nie dopuszczało nudów ani tęsknoty, zresztą babcia podtrzymywała w niej ducha swemi przestrogi i naukami, a staruszka ta taki wpływ umiała wywierać na otaczających, że niepodobna było jej się oprzeć.

Tak przeminął miesiąc i dziewczę zaczęło już przywykać do nowego życia i znajdować przyjemność w rozlewaniu naokoło siebie ciepła i wdzięku, jaki każda kobieta powinna roztaczać gdziekolwiek się znajdzie.

Tymczasem lato było bardzo piękne i pogodne, Janka odbywała często przechadzki po lesie w towarzystwie małej Marcelki, córki ekonoma, którą polubiła bardzo. Marcelka знаła dobrze las, bo ojciec jej był dawniej leśniczym, i była uszczęśliwiona, skoro ją Janka zabierała z sobą. Jednego dnia postanowiły wybrać się dalej, by obejrzeć starożytne mogiły położone w lesie. Wyszły więc przed wieczorem, a że jak zwykle, wuj i ciotka byli gdzieś przy zajęciu, więc nie mówiły nikomu w domu gdzie idą. Dzień był piękny lecz trochę chmurny, w ciepłym powietrzu nie czuć było najmniejszego podmuchu. Janka oddychała z rozkoszą wonią, którą las rozrzucał, a stopy jej deptały mech miękkie, jak kołnierze. Szły szybko, i Marcelka, kierująca się z łatwością wśród ścieżek biegnących w różne strony, wyprowadziła wreszcie Jankę na miejsce otwarte, otoczone dokoła ścianą lasu w pośrodku zaś wznosiły się trzy mogiły rozmaitej wielkości. Niewiadomo było z jakich czasów pochodziły, można było tylko odgadnąć, że są bardzo stare, bo rosły już na nich spore dęby, a bluszcze i ścielące się dzikie róże, właściwe tym okolicom, rozkładały się u ich stóp. Był to tak uroczy zakątek, że Janka oczarowana chciała tu pozostać jak najdłużej, nie pomnąc na to, że słońce zachodziło, a do domu z powrotem był jeszcze spory kawał. Usiadła na mogile, wsłuchując się w uroczysty, poważny szum lasu i w milknący już szebiot ptaków. Słońce rzuciło przez gałęzie snop czerwonych, ognistych promieni i skryło się za chmury, wiszące na skraju horyzontu; w lesie zaczęło się powoli ściemniać.

— Panno Janinko, wracajmy do domu, bo później będzie ciemno w lesie i nie trafimy — odezwała się Marcelka.

Janka ocknęła się z zadumy i zawróciła do powrotu; ale do owego miejsca schodziło się dużo ścieżek, biegnących w rozmaitych kierunkach i trudno było rozpoznać wśród szarzejącego zmierzchu, która z nich była właściwą. To też po niejakiem czasie Marcelka spostrzegła się, że wracały inną ścieżką niż ta, którą przyszły. Trudno jednak było cofać się w obec zapadającej nocy.

— Idźmy już tą samą ścieżką, zawsze ona nas gdzieś wyprowadzi — rzekła Janka.

Z początku bynajmniej się nie niepokoili, zwłaszcza Janka zachwyconą była prześlicznymi zakątkami lasu, przez które przechodziły teraz. Mijały łączki, wysłane aksamitnym ciemno-zielonym mchem, wąwozy, na dnie których sączyła się woda, ale jakoś nie mogły się dostać do szerokiej drogi, idącej środkiem lasu.

— Co to jest, przecież ja znam ten las doskonale — mówiła Marcelka zaniepokojona tem trochę. Widocznie poszłyśmy zanadto na prawo.

Zwróciły się więc na lewo, ale i to nic nie pomogło, bo choć wprawdzie natrafiły na jakąś drogę, ale wiodła ona w coraz głębszy bór. Tymczasem zrobiło się zupełnie ciemno, niebo pokryło się chmurami, a las czegoś zaczął szumieć złowrogo, przynajmniej tak się obu zbłąkanym zdawało.

— Tam na końcu drogi świeci się niebo — zawołała nagle Janka radośnie, pewnie to już las się kończy.

Niestety, była to tylko okrągła, podmokła łączka, znajdująca się w środku lasu. Wtedy rozpacz ogarnęła biedne dziewczęta, bo zrozumiały, że naprawdę zabłądziły w lesie, który miał kilka mil rozciągłości.

— Co my teraz pocniemy? mówiła Marcelka na pół z płaczem. — Ja już nie wiem którądy iść, boję się, byśmy nie zaszły w jakie bagna albo w jeszcze ciemniejszy bór. Ojciec powiada, że ten las łączy się dalej z wielkimi, rządowymi lasami, które się ciągną na kilkanaście mil.

— A może tam są wilki? — zapytała Janka z przestraszaniem.

— Ojciec powiada, że wilki w lecie nie straszne, tylko w zimę.

Pomimo tego zapewnienia, możliwość spotkania wilka w nocy nie pocieszała Janki wcale. Trzeba było jednak iść w jakimkolwiek bądź kierunku, niepodobna było zostawać na miejscu. Drżące, okryte zimnym potem dziewczęta wyteżały wzrok, czy nie ujrzą znów nieba, przegładającego z poza

drzew. Wreszcie znów zaświeciła otwarta przestrzeń, obie przyspieszyły kroku, wyteżając wszystkie siły i znalazły się na jakiejś szerokiej drodze...

— To droga do Hołoskowiec, poznaję ją! — zawołała Marcelka z radością.

Ale teraz zachodziła trudność, w której stronie leżały Hołoskowiec, czy na prawo, czy na lewo, bo krążąc tak długo po lesie, straciły zupełnie pojęcie, czy szły na wschód, czy na południe, czy też na północ.

— Mnie się zdaje, że musimy iść na prawo — rzekła Janka.

— A ja myślę, że na lewo — odparła Marcelka.

Poszły w końcu na lewo, ale jakoś nie widać było krańca lasu. Janka trzymając za rękę Marcelkę, uczuła, że ta zaczyna drżeć ze strachu, powiedziała więc sobie, że nie powinna poddawać się trwodze, bo cóż się z niemi stanie, jeżeli obie stracą przytomność. Położenie było tem krytyczniejsze, że deszcz zaczął padać, wprawdzie niewielki, ale w lesie czuć się dawała wilgoć, a noc, spędzona pod gołym niebem przy takiej pogodzie, groziła chorobą.

— Uspokój się, Marcelko — rzekła Janka, widząc że jej towarzyszka wciąż drży, jestem pewną, że las niedługo się skończy; przecież ta droga musi nas gdzieś zaprowadzić. Nagle wśród zarośli ujrzały połyskujące zielonawe światła; było ich mnóstwo. Janka przeleżała się, myśląc, że to wilki, ale były to tylko robaczki świętojańskie, gdyż przechodziły właśnie przez miejsce wilgotne, które one najlepiej lubią.

Innym razem obie dziewczęta byłyby się zachwyciły temi prześlicznymi lampkami, bujającymi w powietrzu, lub kołyszącymi się na krzakach, ale teraz o niczem nie były w stanie myśleć tylko o wydobyciu się z owego straszego lasu.

Wreszcie drzewa zaczęły rzędnąć i ukazało się pole; dziewczęta wydały okrzyk radości, ale wkrótce przekonały się, że się znajdowały w miejscu zupełnie nieznanem. Otaczała je pusta przestrzeń, na której w mroku majaczały na skraju horyzontu lasy, zresztą żadnej wsi, ani żadnej postaci ludzkiej widać nie było, tylko gdzieś w oddali słychać było szczekanie psa.

— Gdzie my jesteśmy? — szepnęła Marcelka, rozglądając się naokoło. — Nie poznaje tego miejsca, jesteśmy chyba daleko od Hołoskowiec.

— Ale w każdym razie jeżeli pies szczeka, to wieś jakaś musi być niedaleko — odparła Janka, nasłuchując.

Poczęły więc wołać, ale głos ich tylko odbijał się echem w pobliskim lesie, nie otrzymując żadnej odpowiedzi. Pod szarem, zachmurzonym niebem puste te, falujące pola, na których zmrok gruby rozścielał swoje opony, wyglądały jakoś ponuro.

Środkiem, pomiędzy łanami przynicy szła dość szeroka droga, dziewczęta puściły się nią trzymając się za ręce. Janka czuła, że już się nogi pod nią uginają ale krzepiła się jak mogła i jeszcze podtrzymywała Marcelkę, która cicho płakała.

Wreszcie błysnęło jakieś światło i chaty zamajaczały w dolinie.

— To jakaś wieś — zawołała Janka — chodźmy, przecież tam są ludzie, którzy nas mogą odwieść do Hołoskowiec.

Skoro zbliżyły się do wsi, wypadło ztamąd kilka psów ogromnych ale trzymały się zdaleka, szczekając tylko zajądło. Strwożone dziewczęta zapukały do pierwszej z brzegu chaty; otworzyła im młoda kobieta, której natychmiast opowiedziała Janka, że zabłądziły w lesie. Wprawdzie nie bardzo dobrze umiała się wyrazić w miejscowym narzeczu, ale młodyca ją zrozumiała i zaprosiła do chaty, mówiąc, że mąż jej ma konie, to odwiezie panuńce do Hołoskowiec.

W chacie znajdowało się kilkoro dzieci, siedzących właśnie przy misie z mlekiem, oraz młody chłop drzemający przy piecu, znać strudzony całodzienną pracą. Zona zbudziła go; mówiąc mu, żeby przyprowadził konie z pastwiska i odwiózł do Hołoskowiec zbłąkane panienki. Chłop przeciągnął się, ziewnął i poszedł po konie. Janka i Marcelka usiadły na ławie; wieśniaczka podała im świeżego mleka, które wypily z wielkim smakiem, bo teraz dopiero poczuły, jak są głodne.

Pół godziny upłynęło, zanim chłop zaprzągnął konie i wyłożył wóz słomą; dziewczęta wsiadły uszczęśliwione, że już jadą do domu, Janka tylko na myśl o niepokoju, jaki sprawiło w domu jej zniknięcie, czuła wyrzut sumienia i chciała być już jaknajprędzej w Hołoskowcach. Znów trzeba było przebywać ten straszny las, z którego niedawno wyszły, ale już się go nie bały. Te same drzewa, które przedtem wyglądały tak złowrogo, i jak gdyby się znawiały żeby je zbłąkać, teraz miały powierzchowność wcale przyjacielską i wcale nie wyciągały groźnie ramion, jak to się przedstawiało podnieconej wyobraźni Janki.

(d. c. n.)

Z DALEKIEGO ŚWIATA.

Dzieło Nansena. — Psy wojujące.

Nansen, o którego powrocie z podróży do bieguna północnego donosiliśmy w Wieczorach, po uroczystościach, urządzonych na jego powitanie, których koszta wynosiły przeszło sto tysięcy koron (monety miejscowej) dla wykończenia dzieła, w którym opisuje szczegóły swej podróży i zdobycze naukowe, jakie w niej osiągnął, pracuje obecnie po 10 — 14 godzin dziennie, przyjmując tylko wyjątkowo odwiedziny. Pomimo to dzieło ukończył zaledwie w trzeciej części, i przed marcem nie będzie ono gotowem. Pragnie on następnie wyruszyć na zbadanie południowego bieguna. Po wygłoszeniu edyktów o ostatniej swej podróży w 27 miastach angielskich i w Niemczech, zamierza przygotować się do nowej ekspedycji, w którą wyruszy znowu na „Framie”, lecz nie pierwaj aż na jesieni w r. 1898. Wyprawę tę obliczył na lat dwa. Tymczasem zaś przyjął miejsce profesora przy uniwersytecie w Chrystyanii unyślnie dla niego stworzone.

Ludy starożytne niejednokrotnie używały na równi z wojskiem psów do obrony. Miały nawet całe ich oddziały wyćwiczone w boju, które na dany znak rzucały się, siejąc zaburzenia w szeregach nieprzyjaciół. Zdawało się nawet nieraz, że waleczne zwierzęta, nie ustępując z placu, wyginęły do ostatniego. Podobnie jak niejedne dawne obyczaje i ten zaczyna powracać w użycie; w edukacji wszakże psów, powołanych obecnie do służby wojskowej, zaszła wielka zmiana. Dawniejsze psy strzegły obóz przed zbliżeniem się nieprzyjaciół i rzucały się na nich w czasie bitwy, dzisiejsze mają zupełnie inne zadania, do których ścisłego spełniania są wprawiane. Włączone bywają zwykle do korpusu pomocniczego armii i przeznaczone do wypraw najniebezpieczniejszych. W Niemczech uczą ich najpierwej rozróżniać mundury swego wojska od nieprzyjacielskich. Pewna liczba ludzi przebiera się za żołnierzy francuskich i ci bardzo źle obchodzą się z psami. Gdy psy zostały już mocno obite, przybiegają im niby na pomoc żołnierze niemieccy, odganiają Francuzów, a psom rozdają rozmaite przysmaki, pies uczy się przez to uważać Niemców za przyjaciół. Najtrudniej nauczyć

go, żeby się zachował cicho, gdyż zwykle szczeka przy najlżejszym szmerze. Psy uczone wydają tylko głuche mruczenie, z którego tonu można wnioskować jakieś nieokreślone niebezpieczeństwo, zwłaszcza zbliżanie się nieprzyjaciela. W Niemczech najlepszymi instruktorami psów są oficerowie strzelców pieszych, we Włoszech strzelcy alpejscy i bersaglierowie.

Gdy pies nauczy się rozpoznawać mundury i przestanie ulegać instynktowi skłaniającemu go do szczekania, zaczyna ją wykladać mu naukę odbywania warty. Niema potrzeby wyliczać usług, jakie może oddać wojsku w pobliżu nieprzyjaciela, towarzysz posiadający słuch tak delikatny, iż słyszy szmery niepochwytne dla ucha ludzkiego, i którego nieomylny węch poczuje zdaleka patrol, skradający się nocą, aby porwać placówkę nieprzyjacielską. Pies pełniący służbę na przednich strażach, musi wyrzec się zwyczaju szczekania, oddając natomiast swą czujność na usługi oddziału. O ile zwykle dobrze wywiązuje się z innych obowiązków swoich, o tyle czuje wstręt do roli listonosza. Mimo to wszakże po kilku miesiącach nauki staje się nader użytecznym posłańcem. W armiach francuskiej i niemieckiej używany jest powszechnie do utrzymywania szybkiej komunikacji pomiędzy sztabem głównym i przednimi strażami.

Psom, pełniącym służbę wojskową, Niemcy dali oznaki mundurowe. Brysie pomerańskie, noszące depesze, mają na obroży żelaznej numer pułku, w którym służą, a na grzbiecie siodełko, do którego przyczepione są małe, skórzane torby na pomieszczenie korespondencji oficerów straży przednich z dowódcami wyższej rangi.

Psy wojskowe we Francji nie noszą żadnych szczególnych znaków mogących ściągać na nie kule nieprzyjacielskie. W Anglii są one wyłączone ze służby wojskowej, gdyż zdaniem Anglików powinny być jedynie towarzyszami swych panów i ich przyjaciółmi nie używanymi do żadnej pracy. Akt parlamentu, pod karami bardzo surowymi, zabrania zaprzęgnięcia psów do wózków.

Sądzone z początku, że do edukacji wojskowej nada się najlepiej wyżeł jako zmyślniejszy od innych gatunków, na przyszłość temu stają jednakże jego upodobania myśliwskie, gdyż nic nie może go wstrzymać w drodze od poszukiwania zwierzyny. To też armie europejskie po większej części opatrują się w psy pochodzenia miejscowego. Niemcy oddają pierwszeństwo psom pomerańskim, Włosi mają alpejskie, nadające się wybornie do wartowania, a w armii francuskiej dobierają rozmaite rasy psów, stosownie do służby, jaką mają pełnić.

OD REDAKCYI.

W odpowiedzi na zapytania, czy w roku b. zamierzamy umieścić jaką powieść *Juljusza Verne'a* donosimy, że mamy przygotowaną do druku najnowszą, wielce zajmującą jego pracę, pod tytułem „*Sfinks lodowy*”, której druk rozpoczniemy wkrótce.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową, rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna Rocznie w Galicyi 10 koron, a w Księstwie Poznańskim marek 10; — stosownie do tego półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10** NOWY.

TREŚĆ: Gordona Stables, Wyprawa do Grenlandyi i bieguna północnego. (z ryc.) — Ratusz w Cieszynie (z ryc.) — Młody król hiszpański (z ryc.) — Marya Łopuszańska, Na pustyni. — Dodatek: Anusia przez Z. Morawską (z ryc.) — Powój i krzaczek wiersz. — List, komedyjka w jednej odsłonie. — Bracia jaszczurkowie. — Zamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów — Dodatek książkowy: Wśród chmur i słońca, przełożyła z angielskiego Marya B.

Redaktorka **Ludwika Hauke**. Дозволено Ценаурою. Варшава 5 Января 1897 г. Wydawczyni **Marya z Chomętowskich Balińska**.

WIECZORY RODZINNE



i czytała z tej samej książki z której mama im czytywała...

ANUSIA.

Anusię spotkało wielkie nieszczęście; gdy miała lat trzy umarł jej ojciec. Zaledwie zaś skończyła lat dwanaście, ukochana jej matka rozstała się z tym światem.

Wielkie to nieszczęście stracić oboje rodziców, a jeszcze większe, gdy się zostanie samą na świecie wśród obcych ludzi i w obcym zupełnie mieście.

A właśnie matka Anusi umarła w Wiedniu, gdzie przyjechała, aby wydoskonalić się w malowaniu na drzewie i tym sposobem na utrzymanie dla siebie, Anusi i Tadzia, młodszego jej braciszka, zapracować.

Anusia i Tadzio, chociaż nie wiedzieli, co to jest zby-

tek i bogactwo, byli jednak bardzo szczęśliwi, dopóki żyła ich ukochana mama.

Anusia chodziła na pensję, uczyła się wielu pożytecznych rzeczy i cieszyła się tą myślą, że wkrótce razem z mamą i Tadzkiem do Warszawy powrócą.

Tadzio, był to sobie czteroletni malec, ale chodził już do szkółki. Tam dużo takich samych, jak on, malców uczyło się na wielkich tablicach poznawać rozmaite zwierzęta, o których im opowiadano.

Miasto było obce, obca mowa, ludzie nieznajomi, Anusi jednak i Tadziewi było dobrze, bardzo dobrze, bo kochana mama zastąpiła wszystkie ciotki, wujaszków i kuzynki. Że zaś rozmawiała z nimi zawsze ojczywym

językiem, nie czuli nawet tego, że się znajdują na obczyźnie. Ach! ale gdy matka umarła, i powrócili z pogrzebu, poczulii dopiero prawdziwe nieszczęście i osamotnienie.

Tadzio ukrył twarz w dłoniach i płakał serdecznie, wołając:

— Mamo, mammo!

Albo:

— Ja nie chcę sam zostać, mamusiu, zabierz mnie z sobą!

Anusia płakała cichutko lecz łzy powstrzymywała. Bo jeżeli sama opłakiwała śmierć matki, jeszcze więcej cierpiała, gdy słyszała płacz i wołania Tadzia.

Nie mogła się jednak swojemu smutkowi oddawać: ona teraz musiała zastąpić małemu braciszku zmarłą matkę.

Wiedziała, że mają wujaszka, który mieszka w Warszawie, napisała więc do niego, donosząc o swoim nieszczęściu.

Lecz list jej nie zastał wujaszka, kilka więc miesięcy upłynęło, nim do nich się zgłosił.

A Tadzio coraz częściej wołał:

— Ja chcę do mamy! do mamy.

Anusia zwykle wtedy odpowiadała:

— Pójdziemy do mamy, pójdziemy!

Lub:

— Bądź grzeczny, bo mama smuci się bardzo i płacze, ciężko jej pod mogiłą, gdy widzi, żeś ty niegrzeczny.

A gdy całodzienne swoje zajęcia skończyła, sadzała Tadzia na małej kanapce, siadała sama przy nim, obejmowała go rączką za szyję i czytała z tej samej książki, z której mama im czytywała.

A chłopczyk słuchał i słuchał, aż w końcu skłaniał główkę na łono dobrej siostrzyczki i ukołysany jej głosem zasypiał, śniąc o zmarłej matce i dobrej siostrzyczce Anusi.

Z. Morawska.

POWÓJ I KRZACZEK RÓŻY.

Bajka.

Powój, roślina wiotka i słaba z natury,
Raz, na wysokiej tyce obwinęty cały,
Na śliczny krzaczek róży oglądał się z góry,
Żartując zeń złośliwie, że był taki mały.
Krzaczek słuchał cierpliwie, lecz odrzekł za chwilę:
„Nie uwódź się, braciszku, myślami próżnemi:
Drobny jestem, lecz stoję o swej własnej sile,
A ty bez twojej tyki pełzałbyś po ziemi”.

LIST

KOMEDYJKA W JEDNEJ ODSŁONIE.

(Ciąg dalszy).

SCENA IV.

(Anusia sama, później Natalka).

ANUSIA. Och! ci panicze! ci panicze! Żeby mogła, tobym im tak dokuczyła za tę biedną panienkę!... Zaro-

zumialcy! Własną siostrą pomiatać będą. (grożąc pięścią). Dałabym ja wam! żeby waszą siostrą była!... Panna Natalcia za dobra, za łagodna, to anioł, nigdy nie krzyknie na nich, zawsze ustąpi, chociaż nieraz przykrość jej zrobią, nie poskarży się nigdy. A oni ocenić tego nie umieją, i coraz więcej pozwalają sobie. Myślą, że tak być powinno, że silniejsi słabszych zawsze uciemiężać będą!... Ja, chociaż nie uczona i nie znam się nawet na pisanych literach, ale mam trochę więcej rozumu od tych zarozumiałców i wiem to dobrze, że chłopcy prawdziwie rozsądni i odważni starają się zawsze być grzecznymi i uczynnymi dla pańienek, a nie ubliżają im tak, jak moi paniczki. Och! żałuję bardzo, że nie jestem waszą siostrą, przerobiłabym was zaraz, dobrze wybiwszy... Poznalibyście wtedy, że nie wszystkie dziewczęta są słabszemi od was!... Panna Natalcia bić nie może, takiej paniencie to nie wypada przecież, ale u nas na wsi to się często zdarza... (Wchodzi Natalka).

NATALKA. Anusiu!

ANUSIA. Co panieneczko?

NATALKA (podając jej list). Zaniesiesz ten list na pocztę.

ANUSIA. Pewnie do panny Reginy?

NATALKA. Tak, Anusiu, pisałam, żeby przyjechała do nas.

ANUSIA. O! to dobrze panienka zrobiła, bardzo lubię pannę Renię. W tej chwili odniosę list na pocztę, tylko wpierw pójdę do kuchni dowiedzieć się, czy nie potrzebują czego odemnie. (Kładzie list na stole i wybiega, Natalka wychodzi za nią).

SCENA V.

(Wchodzi Jurek).

JUREK. Natalki już niema, pewnie się obraziła na nas. Myśli, że nas tem bardzo rozezuli. (Wzrusza ramionami). A niech się gniewa! I owszem, nie mam nic przeciwko temu! (sposstrzega list). Ach! list jakiś! (bierze do ręki i ogląda). Natalka do Reni, ciekawym, co ona też pisze do niej? Żeby tak można przeczytać! Koperta świeżo zaklejona, może się da otworzyć (otwiera list i czyta głośno). „Kochana Reniu! Podobno wujaszek w tych dniach do nas się wybiera, piszę więc do ciebie z prośbą, żebyś z nim przyjechała, bo mi bardzo smutno bez ciebie, nie mam się nawet z kim bawić, bo Lucyś z Jurkiem, jak ci wiadomo, nie chcą się zadawać z dziewczętami. Jacy oni nierozsądni pod tym względem, narażają się tylko na śmieszność... (Oburzony, przestając czytać). Nierozsądni! Proszę, proszę, jaka mi mądra osoba. Czekaj, już ja ci tego nie daruję! Z pewnością odechce ci się pisać tak o rodzonych braciach. No, ale cóż dalej ona tam pisze? (czyta). Przyjeżdżaj więc, Reniu kochana, bo nie wiem doprawdy, co mam robić, nie mam nawet do kogo przemówić, Jurek i Lucyś nieraz mi tak odpowiedzą, że leż nie mogę powstrzymać i często płaczę, bo mi przykro bardzo, że oni mię nie kochają, (przestaje czytać). Ech, kaprysisz moja panno! Ale czekaj, ja ci nie daruję tych nedorzecznosci, które popisałaś w tym liście. Już mam pomysł, zaraz go wykonam. (Zakleja spiesznie kopertę i kładzie list na stole). Wystraszę ją tak, że mię popamięta!

BRACIA JASZCZURKOWIE

(Dalszy ciąg).

Kłopotek pierwszy się zbudził, a widząc, że bracia śpią, wyszedł z nory, zapolować sobie na własną rękę. Lecz tak się gdzieś zapędził daleko, że ani go widać nie było.

— Gdzie Kłopotek! — krzyknął Mocobój, obudziwszy się i nie widząc braciszka.

Chyżomir skoczył na równe nogi i szturchnął w bok Grubosława.

— Cóż tam nowego? — mruknął tenże, przecierając sobie oczy.

— Co nowego? Kłopotek się gdzieś podział, a ty leżysz i chrapisz, jak za dobrych czasów. No, wstawaj! Musimy go szukać.

Za radą Mocoboja rozbiegli się na trzy strony, by łatwiej znaleźć malca. Po dłuższym jednak czasie wrócili wszyscy z niczem.

— Co powie mama, jak się dowie o tem nieszczęściu! — płakał Grubosław.

— Ach, czemużeśmy nie pilnowali lepiej naszego braciszka! — dodał Chyżomir.

— Czekajcie tu na mnie — zawołał Mocobój — jestem najstarszy, nie boję się niczego, pójdę go szukać na nowo, bo czuję, że to mój obowiązek.

— Życie własne narażasz — przerwał mu Grubosław — może braciszka naszego spotkał jakiś szary wypadek, może i ty staniesz się pastwą wrogów, a biedna mama opłakiwać będzie śmierć najmłodszego i najstarszego syna i to... w jednym dniu!

— Nie śmiałybym stanąć przed nią bez Kłopotka; postanowienie moje jest niezłomne — idę!

— Zapóźno! Zapóźno! — zawołał Chyżomir. — Patrzcie! Jakiś potwór... uciekajmy!

W mgnieniu oka skryli się bracia do jaskini, a straszdyło wlokło się powoli pod górę i patrzyło przed siebie wylupiastymi oczyma. Kiedy niekiedy dawało susa do pośpiechu i sapało potem ze zmęczenia.

— Przysięgnę, że to ta poczwara zrobiła coś Kłopotkowi — szepnęła Mocobój, patrząc przez szparkę w stronę zjawiska. Zemszczę się, choćby mi przyszło zginąć samemu, zemszczę się!

Wściekłość ogarnęła Mocoboja, i już chciał rzucić się z dziką rozpaczą na nieznanego potwora, gdy nagle z poza niego wysunął się Kłopotek, wołając:

— Stój, braciszku! Nie szalej! Toż to nasza kochana ciocia żaba!

— Ciocia żaba? — krzyknęli jednogłośnie Chyżomir i Grubosław, wyskakując z nory zaciekawieni.

— Tak jest — potwierdziła żaba z godnością — jestem waszą ciocią, a wyście wszyscy nicponie. Chcieliście, to macie. Czy to tak się wita osobę starszą, poważną, zajmującą wysokie stanowisko? Wyskakują z krzykiem, jak waryaty, przypatrują się, jakby jakie dziwo zobaczyli! Cóż to za maniery? A dziecka to tak pięknie pilnujecie, że aż biedactwo zablądziło, i jak nic byłaby katastrofa. Szczęściem spotkałam bębna, spytałam

(Wydaje sznurek z kieszeni i przywiązuje do nogi krzeselka), Natalka przyjdzie tu niedługo i usiądzie na tem krzesle, a ja za drzwiami pociągać będę za sznurek. Drzwi na klucz zamknę, nie będzie mogła uciekać. (Przeciąga sznurek pod drzwiami i wychodzi).

SCENA VI.

(Wchodzi Natalka i Lucyś).

LUCYŚ. Gdzież się ten Jurek podział? Chodzę, szukam i nigdzie go niema.

NATALKA. Nie widziałam go wcale.

LUCYŚ (siada na krzeselku). Zmęczyłem się trochę, byłem daleko na spacerze.

NATALKA. Byłabym też poszła z ochotą.

LUCYŚ. Mogłaś iść, nikt ci przecież nie bronii.

NATALKA. Samej tak chodzić to nieprzyjemnie.

LUCYŚ. Boisz się zapewne?

NATALKA. Nie boję się wcale, tylko nie lubię sama chodzić.

LUCYŚ (z ironią). Aha! Nie wiedziałem, że tak bardzo lubisz towarzystwo. Żebyś była chłopcem, zawsze razem chodzilibyśmy, pod moją opieką byłabyś bezpieczną; ale z dziewczętami spacerować nie lubię.

NATALKA. Wiem o tem, niestety!

LUCYŚ (oglądając się). Coś zaszmerzało koło krzeselka i trąciło mię w nogę.

NATALKA (odsuwając się). Może mysz?

LUCYŚ. Boisz się myszy? Wstydź się! Taka duża panna takiego małego stworzenia się boi!

NATALKA. Przecież ja się nie boję, bo wiem, że mysz nic złego uczynić mi nie może, ale to takie nieprzyjemne stworzenie. (nadśłuchuje). Słyszysz, Lucysiu, teraz koło drzwi coś drapie... O! teraz znowu koło twego krzeselka.

LUCYŚ (z wolna podnosząc się i rozglądając). Słyszę; co to może być? (Krzesło, pociągnięte sznurkiem, wysuwa się z łoskotem, Lucyś przerażony odskakuje na stronę). Ach!

NATALKA. Och! jakżeś mię przestraszył! Czy to ty pchnąłeś krzeselko?

LUCYŚ. Nie, ja nie popychałem. Ja nie wiem, co to było! (krzeselko znów się posuwa).

NATALKA. Widzisz Lucysiu, znowu to samo!

LUCYŚ (biegnie do drzwi i chce uciekać). Co to jest? Drzwi na klucz zamknięte.

NATALKA. A gdzież ty chcesz iść? Wpierw się przekonajmy, co to wszystko ma znaczyć. Czy się boisz?

LUCYŚ (patrząc na posuwające się krzesło, przybliży się powoli do otwartego okna). Co za przypuszczenie! Ja miałbym się bać? (krzesło, szarpnięte mocno, przewraca się, Lucyś wyskakuje oknem).

NATALKA. Lucysiu! Gdzież ty jesteś?... Czyżby on oknem uciekł? Prawdopodobnie tak jest. To taka jego odwaga, z którą się chwalił zawsze! Ale muszę się przekonać, co znaczą te strachy jakieś. (Dochodzi do krzesła, podnosi je i spostrzega sznurek). Ach! teraz wiem wszystko! To Jurka sprawka, pewnie chciał mnie przestraszyć. (Odwiązuje sznurek). Nie udało ci się, braciszku, zamiast mnie, przestraszyłeś Lucysia.

(d. n.)

Skrzynka do listów.

skąd idzie, gdzie mieszka, jak się nazywa... co z was dalej będzie, radabym wiedzieć, kiedy sobie tak poczynacie.

Ciocia żaba tak była zirytowana, że aż się zasapała; ale Mocobój w imieniu swoim i braci przeprosił ją pokornie, i jakoś się ciotka udobruchała.

(d. c. n.)

ZAGADKA.

Trzy tylko głoski tworzą me istnienie,
A jednak ważna przypadła mi rola,
Bo każdą pracę i każde dążenie
Złączyła ze mną silna ludzka wola.
Znają mię strzelcy, zna każdy mąż prawy
Przyświecam w życiu — służę do zabawy.
Lecz gdy środkowa głoska się odmieni,
Stanę się miarą, dawno w kraju znaną,
I choć niewielkie me miejsce w przestrzeni,
Jednak do wielkich bywam przystawiana.

LAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

ułożył Jakób E.

Wyszukać 8 wyrazów, którychby pierwsze litery złożyły miano prowincji austriackiej. 1) Ptak brodzący. 2) Kraina po obu brzegach Dniepru. 3) Ptak domowy. 4) Miasto na Szląsku. 5) Część monarchii austriackiej. 6) Miasto w Morawii. 7) Królestwo w Europie. 8) Cesarstwo w Europie. Sylaby: Au — nor — i — wę — o — ku — u — bo — strya — we — gła — gry — pa — ra — kra — cian — gia — wa — wa i — na.

KWADRAT MAGICZNY.

Rybak z n. Wisły dla Izy z W.

a	x	x	x	Figura geometryczna.
x	o	x	o	Oplata za uwolnienie.
x	k	p	x	Odblask ognia.
x	x	x	t	Przełożony zakonników.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 1-go.

Szarady: Ko — ła — tek.

Logografu geograficznego:

1) Jena. 2) Auckland. 3) Nauplia. 4) Kirchholm. 5) Oświecim. 6) Chili. 7) Horodziec. 8) Archangielsk. 9) Nan-gasaki. 10) Odensee. 11) Wrocław. 12) Skutari. 13) Króle-wiec. 14) Irtysz.

Jan Kochanowski — Adam Mickiewicz.

Józi G. Za przesłane życzenia dziękujemy serdecznie. Rubla biednym dzieciom oddaliśmy. List jak na ośmioletnią panienkę bardzo starannie i dobrze napisany, prosimy też o częstsze takie liściki.

Kajety z naklejonemi obrazkami od *Brońci Ch.* odesłaliśmy do szpitalika dzieciennego, nmiła one niejedną chwilę biednym, małym chorym.

Mieczysławowi S. przesyłamy Bóg zapłać za rs. 1 dla ubogich.

Kochanej *Pliszce* za miły liścik, jak również za pamięć o całej Redakcyi bardzo wdzięczni jesteśmy. Postaramy się wynaleść jaką ciekawą książeczkę, którejby *Pliszka* jeszcze dotąd nie czytała.

Ryszard Lwie serce przysłał dobre rozwiązanie łamigłówek. Szarada o ile się zdaje, będzie odpowiednią do druku.

Przenumeratę roczną od *Olgierta* i *Przemysława Michał...* otrzymaliśmy, a brakujące numera dodatku powieściowego wysyłamy. Pismo *Olgierta* tak ładne i wyraźne, że trudno się wstrzymać od pochwały.

Edwardowi B. wysyłamy *Wieczory bez przerwy*. Kwadrat magiczny, jak również łamigłówki sylabowe *Stefana J...* i łamigłówki geometryczne *Lucyana J...* wydrukujemy, o ile tylko okażą się odpowiednie

Dobre rozwiązania łamigłówek nadesłali: *Zygmunt O.*, *T. J.* i *Gabryel G.*

Bardzo się zmartwiłam list twój przeczytawszy kochana Szarotka tatrzańska i żał się w sercu obudził za niesłuszne osądzenie. Dlaczego to Szarotka nie pisuje nigdy, widocznie nie ma ochoty do dalszej korespondencji ze mną — myślałam wielokrotnie. A ty tymczasem dowiaduję się, że nie brak chęci ani zapomnisz stanęło temu na przeszkodzie ale długa choroba. Dzięki Bogu, że przysłałaś już do zdrowia; pojmuję, że żałujesz czasu straconego, ale w młodym wieku łatwo to wynagrodzić przy dobrej woli i chęci, a тебе, pewna jestem, ani na jednej, ani na drugiej zbywać nie będzie. Dziękuję ci za życzenia noworoczne i życzę wzajem, byś w ciągu roku zupełnie przyszła do zdrowia. Proszę cię też bardzo o dalsze wiadomości i o jak najczęstsze listy, które odczytuję zawsze z prawdziwą przyjemnością

Rozwieram liścik i czytam podpis: Niezapominajka z Łodzi, ucieszyłam się bardzo i myślę sobie: co mi też dzisiaj donosi moja miła Niezapominajka? Ani się spodziewałam tak ważnej nowiny, rozumiem jak się musisz cieszyć z przybycia małej siostrzyczki, która z dniem każdym i tygodniem będzie się stawała miłszą i mądrzejszą. Za dobre życzenia wdzięczną ci jestem, postaram się nadal zasługiwać na przywiązanie moich kochanych korespondentek, odpłacając je z całego serca. Redakcyja dokłada wszelkich starań, by i w tym roku *Wieczory* były równie ciekawe, jak lat zeszłych.

Bardzo porządnie list napisałaś, kochana Jerzynko, a nie potrzebowałaś zdobywać się na odwagę by za mojem pośrednictwem zanieść prośbę do Redakcyi, bo wiedz o tem, że zawsze radzibyśmy zadość uczynić prośbom czytelników naszych. To też posłałimy ci początek „Orlej skały”, a na przyszłość prosimy, żebyś się zawsze do Redakcyi śmiało udawała z każdym żądaniem.

Przekonałeś mnie, *Ludwisiu K...*, że jesteś równie rozsądnym jak miłym korespondentem, kiedy cię moje uwagi nie obrażają, rozumiesz, że pochodzą one tylko z wielkiej życzliwości. Łamigłówki oddałam Redakcyi.

Pozdrawiam was, wszyscy mili czytelnicy; przebaczcie, że nie odpisuje na wszystkie listy, bo brak miejsca stoi na przeszkodzie.

Jaskółka.